

TYKOCIŃSKIE PASJE*

Stał sobie Czarnecki z piaskowca szydlowieckiego na cokole jak dziś, w samym środku Tykocina, dumnie dzierżąc oznakę swej hetmańskiej władzy. Buława błyszczała szczerym złotem. Tak, to musiało być prawdziwe złoto. W każdym razie wszyscy byli o tym przekonani. Jeszcze wieczorem wszystko znajdowało się w największym porządku. Rano mieszkańcy Tykocina z przerażeniem stwierdzili że buławy nie ma, zniknęła...

Stał dalej hetman z wyciągniętą ręką, ale to już nie była władczość. Po prostu bezradny gest okradzionego człowieka. Bo co tu ukrywać, okradziono Czarnieckiego, jego, który nie dawał się Szwedom, Moskałom, Tatarom, Kozakom!

— Noo; to było dawno, jeszcze przed wojną — odzęgnują się tykocinianie od tego niezbyt chlubnego, bądź co bądź faktu grabieży na osobie narodowego bohatera, który w dodatku żył tu, na ich ziemi. Cóż, wierzymy, że dziś taki incydent byłby nie do pomyślenia. Tym bardziej, że już nikt nie jest wystawiany na pokusę złota. Czarniecki trzyma buławę z brązu, pokrytą cienutką warstwą złota, tu i ówdzie naruszoną już zębem czasu.

Wokół pomnika — jednego z najstarszych tego rodzaju obiektów świeckich w Polsce (z 1750 r. dzieło francuskiego mistrza de Launoy), zasadzone róże, pięknie utrzymany skrawek. Dalej, przy pl. Czar-

neckiego — domy. Te stare, więcej niż stuletnie zamieszkałe zabytki i nowsze, w których usadowiły się urzędy i instytucje. Wspaniałe późnobarokowy kościół, wznoszony w latach 1742—46. Nad samą Narwią, przy moście, zabytkowy budynek, w którym dziś zgodnie sąsiadują geesowski klub-kawiarnia i schronisko PTTK.

Ul. Świerczewskiego wchodzi się w starą dzielnicę — Kaczorowo. Przy ul. Świerczewskiego łupią cepy o klepisko, gdczą kury. W kierunku rynku godnie kroczy stadko gęsi. Taki jest Tykocin, wiejsko-miejski, nie wiadomo jaki. Chociaż właściwie wiadomo. Wystarczy przeczytać tabliczkę na siedzibie miejscowych władz: Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej.

Gromadzkiej? Nie takie to znów oczywiste. Przynajmniej dla kierowcy ciężarówki który właśnie wiezie betonowe słupy. Owszem, chętnie zabierze do Tykocina, czemu nie? Nie byłby człowiekiem, gdyby w taki ziańb drugiego zostawił na szosie. A do Tykocina będzie z osiem kilometrów — Wieś czy miasto? — powtarza pytanie przygodnej pasażerki. Chwila namysłu, ale zaraz z przekonaniem: — miasto proszę pani. Tak, miasto...

Formalnie Tykocin praw miejskich nigdy nie utracił. Nie było takiej ustawy — z całkowitym spokojem stwierdza jedna z mieszkanki Tykocina. Ta, o której wszyscy wiedzą, że historię miejscowości zna jak własną szafę. Wszystkie fakty, daty poukładane. W każdej chwili można coś wyciągnąć na odpowiednią okazję. No i coraz to coś nowego przybywa: z dopiero co wydanej lub świeżo „odkrytej” książki, z

* Praca zgłoszona do konkursu literackiego zorganizowanego w ramach Ogólnopolskiego Konkursu Krajoznawczo-Turystycznego Przez X wieków Polski.

jakiegoś pisma, z rozmowy. Ale analogia z szafą nie jest właściwa, gdy mowa o pa-sji. O tym nieprawdopodobnym opętaniu historią ojczystego zakątka. Namiętności jakich mało — pochłaniającej, zarażającej. Właśnie tutaj, jak u Alfredy Pogorzelskiej.

Do dnia dzisiejszego Pogorzelska pracuje zwyczajnie. W zakładzie usługowym dziewiarstwa, w miejscowej spółdzielni pracy. Sweterki, bluzeczki, czapeczki...

Tak więc, Tykocin praw miejskich nigdy nie utracił. To z podziału administracyjnego wynikało, że został siedzibą gromadzkiej rady, gromada, a tym samym wsią. To prawda.

I w stwierdzeniu tego faktu nie ma jakiegoś zażenowania degradacją. Miasto czy wieś, mniejsza o to. Tykocin zawsze jest Tykocinem. Miejscowością, która przechodziła chwile dobre i złe, ale się liczyła. No, bo proszę spojrzeć na historię.

Tykocin otrzymał prawa miejskie w 1425 r., ale w ogóle grodem był już znacznie wcześniej. Prawdopodobnie w XII w. Stanowił prywatną własność litewskich Gasztoldów i Radziwiłłów, by następnie stać się dobrym królewskim Zygmunta Augusta. Nierzadko zajeżdżali tu władcy Korony. Właśnie Zygmunt August, Zygmunt III Waza, Władysław IV. Na przełomie XVI—XVII w. starostą tykocińskim był sekretarz i bibliotekarz królewski — Łukasz Górnicki, który na stałe wszedł do ojczystej literatury. U autora *Dworzanina* bywał ponoć jako gość twórca jeszcze znakomitszy — Jan z Czarnolasu.

W 1661 r. w uznaniu zasług dla ojczyzny, Sejm przekazał starostwo tykocińskie, choroszczańskie i małą wieś Białystok Stefanowi Czarnieckiemu. (Tak, ten sam Białystok. Czemu się tu dziwić? Zupełnie oczywiście. Przecież obecna wojewódzka metropolia uzyskała prawa miejskie dopiero w 1749 r.). Pomnik dla uczczenia bohatera ufundował Jan Klemens Branicki. Bo właśnie do Branickich przeszły tykocińskie dobra wraz z ręką córki hetmana — Aleksandry Czarnieckiej. Oni też, trzeba im oddać sprawiedliwość, wiele zrobili dla

miasta. Ich fundacją są prawie wszystkie dzisiejsze zabytkowe budowle Tykocina.

Miasto kwitło najwspanialej w połowie XVI w. Przez tutejszy port rzeczny płynęło Narwią zboże, drewno i ubita zwierzyzna do Warszawy i Gdańska. Szły w świat wyroby rzemieślnicze, wśród nich znane tykocińskie fajki z kilku tutejszych fabryczek. Tykocin szczycił się trzema brukowanymi rynkami, wielkością murowanych domów i mnóstwem najróżniejszych karczem. W tych to dobrych czasach można tu było zliczyć 10 karczem miodowych, 36 piwnych i 15 gorzałczanych! Mieli je w swoich rękach przeważnie Żydzi, osiedleni w Tykocinie w 1522 r., za zezwoleniem Olbrachta Gasztolda.

Ale przez Tykocin przewaliło się i złe. Był ogromny pożar w 1572 r., „szwedzki potop”, zaraza w 1706, wielki pożar w 1797, była wojna francusko-pruska, bitwa wojsk polskich z tylną strażą rosyjskich gwardii na groblach tykocińskich w 1831 r., powstanie styczniowe 1863 r., I i II wojna światowa. Podczas II wojny światowej Tykocin stracił 60% budynków i ponad połowę ludności. W dniach 25 i 26 sierpnia 1941 r. hitlerowcy rozstrzelali tu całą ludność żydowską.

Był 19 września 1965 r. Dokładnie trzecia po południu. Ze stodoły, oddalonej o jakieś pół kilometra od Tykocina wyrzeliły w górę płomienie. Tego dnia szalała wichura. Czerwone ptaki wiechci zatrzepotały nad miastem. Zajęło się od razu w czterech punktach. Potem dalej — piąty, szósty, dziesiąty dom. Ogniska powstawały w niespodziewanych miejscach. Ludzie ratowali sąsiadów, nie wiedząc, że w tym samym czasie płonie już ich dobytek. Gdzieś zaczęły się rwać granaty, zakopane od wojny!

— Tej grozy nie zapomnę nigdy — mówi Alfreda Pogorzelska. — Półprytomnie dzwoniłam do Polskiego Radia, żeby nadali komunikat, że nasze miasto się pali, zabytki, dorobek wieków, że trzeba ratować...

Tymczasem ratowali sami. Na którymś dachu stał kierownik szkoły i dowodził całą akcją. Nauczyciele, nie bacząc na za-

grożenie własnych mieszkań gasili razem z uczniami zabytkową kamieniczkę.

Odsiecz przybyła, gdy ogień zaczął już lizać zabytkową synagogę. Przyjechało 50 jednostek straży pożarnej. Zdusili pożar. Ale zdążyło już spłonąć 100 budynków przy ulicach: 1 Maja i Karola Świerczewskiego, wśród nich kamieniczki z XVIII w. Niektóre zostały uszkodzone.

Ten pożar był niedobry dla historii, chociaż udało się ocalić najcenniejsze pomniki przeszłości. Ale prawdę mówiąc, współczesność może być żywiołowi wdzięczna.

W miejsce byle jakich, krytych słomą, przedwojennych chałup zaczęły po pożarze powstawać ładne, murowane domy o obszernych izbach i jasnych oknach, kryte ogniotrwałymi dachami. Oczywiście, przy pomocy PZU, bo skąd pogorzelnicy mieli wziąć pieniądze na takie solidne budowy.

Powstały zespoły budowlane. Wydział Architektury bezpłatnie przekazał plany budowy, przy okazji powiększono ludziom place kosztem mienia opuszczonego. W błyskawicznym tempie odrestaurowano uszkodzone zabytkowe kamieniczki. Jeszcze przed nastaniem zimy mogli znowu zamieszkać w nich ludzie. W ogóle, tu w Tykocinie, widzi się wielką dbałość o zabytki. Ta dbałość to nie tylko czerwone tabliczki z napisem: „obiekt zabytkowy, naruszanie stanu surowo wzbronione...” To prawdziwa, serdeczna troska o utrzymanie pamiątek przeszłości.

Miejscowi podkreślają zwłaszcza zasługi inż. Paszkowskiego z Wojewódzkiego Wydziału Konserwacji Zabytków. Znają go dobrze. Myśleli, że co jak co, ale ten zawojowany przez grzyb budynek pomisjonarski już pójdzie na straty. Jednak nie. Paszkowski go uratował.

Solidnej trzeba opieki tym wszystkim tykocińskim zabytkom. Historia jest wymagająca. Nie da się zbyć byle pozorem zainteresowania, żąda dowodów prawdziwej miłości. Tu, w Tykocinie zbiera je na każdym kroku. Dzięki temu może cieszyć oczy i serca uroda zadbanych skarbów. Takich właśnie jak pomnik hetmana Czar-

nieckiego, stare kamieniczki, synagoga z 1642 r. (druga w Polsce po krakowskiej), osiemnastowieczne budynki pomisjonarskie, dom inwalidów, przytułek, dom z alkierzami, ruiny zamku w dolinie Narwi, późnobarokowy kościół parafialny z lat 1742—46 z malowidłami Sylwestra Mirysa i wspaniałymi, osiemnastowiecznymi ornamentami z pasów słuckich.

Kiedy się już jest w Tykocinie, konieczne trzeba obejrzyć te ornaty. Opiekuje się nimi ksiądz proboszcz Krajewski. To on uratował ornaty przed zniszczeniem, bo właściwie zaczęły się już rozsypywać. Być może, dziś nikt już nie mógłby podziwiać tej cudownie misternej pracy ludowych artystów, gdyby ks. Krajewski nie znalazł odpowiedniej pracowni konserwatorskiej, nie przewiózł tam zabytkowych ornatów i nie poprosił o ratunek. Stare szaty liturgiczne wróciły do tykocińskiego kościoła jak nowe. Przez pewien czas wisiały na widocznym miejscu w kościele, i każdy mógł je obejrzeć. Potem zostały schowane, ale ksiądz udostępnia je chętnym, opowiadając przy okazji ich historię.

Gorzej, gdy akurat księdza nie ma. Wtedy można się rozejrzeć za kościelnym. Jest. Zbliża się wieczór i właśnie ma zamiar zamykać kościół. Stoimy w zakrystii.

— Ornaty? — Dziadunio patrzy podejrzliwie.

— Tak, te zabytkowe, z pasów słuckich.

— A co ja mam do nich? Ksiądz proboszcz pokazuje!

— No, ksiądz przecież wyjechał. Może jednak pan...

— Żebym to ja miał klucz! Klucza nie mam. No patrz pani wszystko pozamykane, siekierą wyrąbię czy jak!

Tu dziadunio wskazuje na dokładnie zamkniętą szafę. Na dowód próbuje nawet poszarpać drzwiczki. Oczywiście, nie ustępują. Ale spogląda przy tym jakoś chytrze.

— No, trudno, żalujemy, że pan nic nie może dla nas zrobić. Tu kościelny odstepuje na krok od szafy, robi obrót o 90 stopni i... po prostu wysuwa wielką szufladę. Żadnych zamków, żadnych kluczy.

W szufladzie piękne ornaty z pasów słuc-
kich...

Dom przy pl. Czarnieckiego, jeden z tych wiekowych, jakie otaczają plac od strony Narwi. Mieszka w nim pan Czesław Matusiewicz, nauczyciel matematyki i fizyki z miejscowej szkoły. Niezwykły to przedstawiciel nauk ścisłych. Kocha sztukę — muzykę, malarstwo. Malarstwo w ogóle, a w szczególności twórczość malarza ziemi białostockiej — Zycha Bujnowskiego, który znaczną część życia spędził w Tykocinie, czerpiąc z jego pejzażu motywy do swoich dzieł.

Tu pokazują chętnie. Pan Matusiewicz zdołał zgromadzić wiele obrazów Bujnowskiego. Część z nich przekazał do muzeów, niektóre pozostawił w swoim domu, urządzając stałą wystawę tego malarza, którego kiedyś, w swoim odległym dzieciństwie zobaczył na tykocińskich gliniankach, gdy tam malował jeden ze swoich obrazów. Piękny to był obraz. Pamięta jak mgłę. Być może, mgliste wspomnienie sprawiło, że już później zawsze przyciągał go ten malarz. A właściwie jego obrazy, o błędnych, przymglonych barwach. Rozmach i delikatna poezja. *Pochmurny dzień, Stary dwór, Studium nieba, Obłoczne niebo* wy-czarował Zych Bujnowski z rozległych płaszczyzn podlaskiego krajobrazu, z nadnarwiańskich nizin. Motywem były mu zabytkowe kamieniczki i kościoły tykocińskie, okoliczne stodoły, o wałących się strzechach, pokrytych aksamitnym mchem.

W warszawskiej Zachęcie wystawiono obrazy Bujnowskiego obok takich malarzy jak Masłowski czy Konrad Krzyżanowski. Niestety, rana odniesiona w czasie wojny w 1920 r. (urodził się w 1895 r.) przecięła jego karierę, czyniąc go kaleką, gdy miał zaledwie 25 lat. Niektóre obrazy Bujnowskiego pozostały w Tykocinie. Większość jednak przepadła w latach okupacji. Wspomnienie z lat dziecinnych Matusiewicza oponentowało w postaci skrzętnie gromadzonego zbioru dzieł malarza z tykocińskich glinianek. Chodził, szukał, wypytywał, I nie na darmo. Co jakiś czas udawa-

ło mu się coś wyszperać. Nieraz przynosił te swoje ukochane pejzaże zalane zupą, wystrzępione, zniszczone, nie do poznania. Doprowadzał je do możliwego stanu, konserwował, zawieszał na ścianach swojego mieszkania lub przekazywał do muzeów. Ocalał od zapomnienia.

Henryk Remiszewski jest również tykocińskim nauczycielem, uczy historii i geografii. Kiedy trafił przed 15 laty do Tykocina był zadowolony. Spodobał mu się piękny kościół, i ta stara, posępna synagoga i Narew ze szczupakami jak nigdzie. Spodobali i ludzie — dumni ze swej miejscowości. Potem zaczęło go to wszystko wciągać. Nie wystarczyło mu poznanie tego, co już było wiadome. Historia starego grodu nie mogła przecieżyć jeszcze odkryć wszystkich kart. I faktycznie. Kilka razy udało mu się znaleźć coś charakterystycznego — pieniądź, kamienną kulę, fajeczkę. Gromadził te osobliwości. Kiedy dowiedziały się o tym dzieciaki zaczęły to i owo przynosić, uzupełniać zbiory. Później dołączyli do tej akcji dorośli. Zbiory rosły.

Były to numizmaty, broń, stare dokumenty, pieczęcie, ordery, ozdobne kafle, noże, młoty, żarna. Takich żaren drążonych w kamieniu na pewno mogłoby tykocińskiemu nauczycielowi pozazdrościć niejedno muzeum. Zresztą on też zapoczątkował swego rodzaju muzeum — zgromadzone zbiory wystawiono w jednej ze szkolnych klas, specjalnie na ten cel wygospodarowanej. Niestety, potem znowu trzeba było wygospodarować salę do nauki. Muzeum przeniesiono do ciążniuteńskiego mieszkania pana Remiszewskiego. Tu cenne eksponaty spoczęły wśród mniej archaicznych przedmiotów gospodarstwa domowego, w warunkach, w których o pietyzm dla wiekowych staroci raczej trudno. Oby nie na długo!

Ludzie włożyli przecieżyć tyle serca w to odkrywanie historii własnej ziemi. Jednak mimo starannych poszukiwań, na ślad skradzionej buławy Stefana Czarnieckiego nie natrafiono. Myślę, że rabuś hetmańskiej buławy nie mógł jednak pochodzić z Tykocina.